

Krzewiński Andrzej

SYMULTANA

Z „*Science Fiction*” nr 1 – luty 2001

"Starość to okropna rzecz", mawiała jego babka, kiedy zmoęła ją choroba i leżała przykuta do łóżka. Tak, miała rację, pomyślał Karpicz i bezmyślnie spojrział przez okno na park. Najgorsze, że było mu to całkowicie obojętne. Siedział na fotelu otulony w koc i wodził wzrokiem po gołych gałęziach drzew za oknem. Latem, a jeszcze lepiej wiosną, kiedy wszędzie było zielono, dom "Złoty wiek" mógł uchodzić za przyjemne miejsce. Oczywiście, pod warunkiem, że miało się te siedem krzyżyków na karku. Stukanie do drzwi sprawiło, że niechętnie obrócił głowę.

- Proszę! - zawołał o ton wyżej niż zamierzał, niestety, ostatnio gorzej panował nad głosem.

Nowicki zaliczał się do najmłodszych pensjonariuszy, wiecznie ruchliwy, pełen nowych pomysłów.

- Przyjdiesz? - spytał, dopinając koszulę na swoim wystającym brzuchu. - Robimy szybki turniej, mówiłem ci.

Może i mówił. Karpicz mimo woli spojrział na szachy rozłożone przy łóżku.

- Nie - otulił się szczelniej kocem. - Źle się czuję, może następnym razem.

Jego gość łypnął z dezaprobatą.

- Wołowina - mruknął pod nosem i wyszedł, swoim zwyczajem nie domykając drzwi.

Był złośliwy, lecz miał rację. Od kiedy powstał szum wokół choroby szalonych krów, zauważalnie zmieniło się menu obiadowe w ich domu. Pewnie ktoś wziął sobie do serca informację, że wołowina staniała, a choroba w pełni rozwija się dopiero po kilkunastu latach od zarażenia, więc nikt z pensjonariuszy nie zdążył na nią umrzeć.

Przez uchylone drzwi do pokoju wślizgnął się pies. Karpicz nie zdziwił się, znał dobrze zwierzątko Boleskiego. Razem grywali w szachy. To znaczy Boleski grał, a pies nosił wetknięte za obrozę karteczki z kolejnymi posunięciami.

- Idź w cholerę - powiedział, lecz Reks tylko pomachał ogonem. Jego futro lśniło dzisiaj jak nigdy. Widać ktoś go wreszcie wykapał.

Nachyliwszy głowę, pies zbliżył się do fotela, aby mężczyzna mógł go podrapać za uchem. Nie potrafił odmówić, tak samo jak nie potrafił odmówić Boleskiemu, praktycznie uwięzionemu w czterech ścianach swego pokoju. Wylew, jaki przeszedł rok temu, skazał go na wózek i pomoc innych. Jego pokój był dwa piętra niżej, lecz dzięki Reksowi mogli się kontaktować na odległość. Szkoda tylko, Karpicz westchnął, że Boleski okazał się tak słabym graczem.

Wykonał zapisany przez kolegę ruch, przesunął swego pionka, a potem wcisnął karteczkę za obrozę. Pies bezszelestnie zniknął za drzwiami. Odkładając długopis, mężczyzna potracił gazetę leżącą na krawędzi łóżka. Ze złośliwością, typową dla przedmiotów martwych, spadła, odsłaniając znany mu artykuł.

"Nagonka czy naga prawda", odczytał kolejny raz nagłówek, zanim nie wkopnął kartek pod łóżko.

Trzęsącymi się dłońmi ściągnął poły szlafroka i, próbując się uspokoić, zatopił wzrok w prostokącie okna.

Jednak, kiedy po chwili coś lodowato zimnego dotknęło jego dłoni, nie potrafił powstrzymać okrzyku trwogi. Pies spojrział z niewinną miną, jakby wiedząc, że uniesiona do ciosu dłoń i tak zaraz opadnie. O właśnie... i podrapie go za uchem.

Kiedy bicie serca wróciło do jako takiej normy, Karpicz wykonał posunięcie Boleskiego, bez namysłu odpowiedział własnym, a potem znowu zapadł w odrętwienie typowe dla ostatnich tygodni. Regularne, w odstępach kilku minut, wizyty psa nawet mu specjalnie nie przeszkadzały. Pozwalał myślom krążyć gdzieś wokół starych, banalnych zdarzeń, potem na chwilę bezboleśnie przesunął się z refleksjami w stronę córki i jej dwójki dzieci. Coś w nim musiało się wypalić. Uczucia były, ale mdłe jak woda w butli, z której dawno uciekł gaz. Psi chwost znowu zniknął za drzwiami. Karpicz opuścił wzrok i tępo spojrział na wystający spod łóżka róg gazety. Tak, przed pewnymi problemami trudno jest uciec...

Wróński w czasie wojny pracował w granatowej policji. Dzięki temu nieraz z wyprzedzeniem wiedział o

łapanekach, przeszukiwaniach czy innych sprawach, które często decydowały o życiu bądź śmierci. Wielu go za to nienawidziło, a jedynie trzy osoby wiedziały, że tak naprawdę jest wtyczką podziemia. Kłopoty Wrońskiego wzięły się stąd, że dwie z nich zginęły w Powstaniu, a trzecia nie chciała się w nic mieszać. Pech Wrońskiego, że nawet o niej nie wiedział.

Dotknięcie psiego nosa sprawiło, że wrócił do rzeczywistości. Odczytał zapisek, przesunął skoczka i, po raz pierwszy od rozpoczęcia partii, przyjrzał się uważniej szachownicy. Ależ tak! Oczywiście, że znał te posunięcia. Atak z czterech pionów w obronie królewsko-indyjskiej - tak typowy dla agresywnego stylu walki Fishera. Odruchowo powtarzał każde posunięcie partii. Spojrzał na psa, który - sądząc z miny - czekał na kolejną wiadomość.

- Skąd twój stary to wzięł, hmmm...?

Reks tylko zastrzygł uchem i z nadzieją spojrzął na długopis. Karpicz znał rozgrywkę na pamięć, więc nie kazał mu dłużej czekać. Roześmiał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Skąd u licha Boleski wytrzasnął ten zapis? Przecież był całkowitym amatorem. No tak, ktoś musiał pożyczyć mu jakąś książkę, może dać. Zdaje się, że miał ostatnio urodziny. Cholera, zaklął, to były osiemdziesiąte urodziny, chciał go odwiedzić, ale zapomniał. Szczerze mówiąc, ostatnio zapominał o wielu rzeczach. Nachylił się i sięgnął po kolejną karteczkę przyniesioną przez czworonożnego posłańca. Żadnych wątpliwości! To była słynna partia ze Spasskim z walki o mistrzostwo świata, którą swego czasu poddawano tylu analizom. Wniosek był jeden: ósmy ruch przed końcem partii przesądzał sprawę. Po nim już żadna siła nie była w stanie uchronić czarne figury przed porażką. Karpicz przesunął swego czarnego gońca. Do końca partii miał jeszcze sporo ruchów. Właśnie zaczęło się lawirowanie.

Coś mu zaszeleściło pod stopą, opuścił wzrok i spochmurniał. Wiele razy zastanawiał się, czy dobrze wtedy uczynił. Wtedy - przed z górą czterdziestu laty - kiedy nie zgłosił się sam do prokuratury. Bał się, że i jego w coś zapłaczą. Przekłeta wojna, wycisnęła go jak cytrynę z odwagi, z wiary w człowieka, z dobroci... tak, z niej chyba także. Jak mu powiedziała córka? "Tato, ty zarażasz wszystkich swoją chorobą duszy".

- Władek dostał pięć lat, ale nawet połowy nie odsiedział - nieoczekiwanie odezwał się na głos.

Objął głowę rękoma i bolesnym wzrokiem obserwował wchodzącego psa. Na poduszkach swoich łap szedł nad wyraz cicho, jakby unosił się nad podłogą. Karpicz na moment przymknął powieki. Kłopot wzięł się stąd, że wnuk Władka zaangażował się w politykę. Dobry, uczciwy człowiek, którego główny błąd polegał na tym, że zgodził się kandydować na ważne stanowisko. To wystarczyło, przeciwnicy zaczęli grzebać w życiorysie jego i całej rodziny. No i dogrzebali się, dziadek granatowy policjant, zdrajca, to była gratka nie lada.

Pies musiał kilka razy szturchać go nosem, zanim przesunął figurę na szachownicy. To bez sensu, pomyślał, już dawno jest za późno, aby to wszystko odkręcać. Aby stanąć twarzą w twarz z jego żoną, jego synem i wnukiem, i powiedzieć: "Wiedziałem, że był niewinny, lecz nic nie zrobiłem". Podejrzewał, że dla nich od tej całej polityki ważniejsze było oczyszczenie Wrońskiego. Moralne zadośćuczynienie, potwierdzenie tego, co przypuszczali, lecz nie potrafili udowodnić. Zaciśnął pięści i tylko widok wchodzącego psa powstrzymał go od rozrzucenia figur po całym pokoju.

- Przecież już dawno jest za późno - wychrypiał - prawda Reks?

Pies jak to pies, wykrzywił zabawnie pysk, a potem, wachlując ogonem, zniknął za drzwiami. Karpicz wbił wzrok w szachownicę, jakby spodziewał się ujrzeć na niej rozwiązanie swego dylematu. Ósmy ruch, a może się myli, a może wszyscy analizujący partię popełniali jakiś błąd? Może jednak i potem można uniknąć porażki? Kudłaty pomocnik wracał i odchodził. Hetman, potem pionek, jeszcze wieża, ruch za ruchem i w końcu ten ostatni, zwrotny moment. Reks szczeknął, więc Karpicz dłużej nie zwlekał. Przesunął pionek i już nie miał drogi odwrotu. Jak w życiu, zaśmiał się płaczliwie, jak w życiu.

Niespodziewany promień światła boleśnie uderzył go w oczy i dopiero po chwili stary człowiek ustalił jego pochodzenie. Słońce. Po raz pierwszy tego dnia przebiło się przez chmury i oświetliło fasadę domu. Jego wąska smuga padła na szachownicę, nadając figurom ostrych konturów. Karpicz wsunął dłoń pod światło, przyjrzał się plamom, pomarszczonej skórze i zawilej plataninie nabrzmiałych żył. Słoneczny blask zgasł i do pokoju wsunął się pies. W jego spojrzeniu było coś przykuwającego uwagę. Mężczyzna odwrócił się gwałtownie ku biało-czarnej powierzchni. Tylu ludzi o wiele lepiej grających w szachy od niego, tyle tęgich umysłów głowiło się nad tą rozgrywką. A może jest jednak szansa?

Wysunął dłoń i lekko trzęsącymi się palcami przesunął jedną z figur: Nic nowego, ten sam siódmy ruch od końca z zapisu partii. Jednak teraz znajdował w sobie całkowitą pewność, że tak należy uczynić. Kątem oka zarejestrował, że pies opuszcza pokój, lecz skupiony na szachownicy nawet nie drgnął. W końcu

dobrze wiedział, jakim posunięciem odpowiedzą białe. Jego umysł, ciało i duszę przenikało coś niepojętego. Jakaś nieważka, eteryczna substancja wypełniła go całego, sprawiając, że zasłona spadała z umysłu, a myśli wyostrzyły się do granic szaleństwa. Myśli i wola należały do niego, ale ta moc, ta przejrzystość... Wtedy dojrzał, pojął i już wiedział, jak można zremisować tę partię. Wygrać - nie, to niemożliwe, kiedy zaszło się tak daleko, ale wbrew utartym poglądom nie musi doznać porażki. Wystarczyło poświęcenie tak nieoczekiwane, że nikomu wcześniej nie przyszło do głowy.

Spojrzał na psa, mrugnął i zdecydowanym ruchem przestawił hetmana pod bicie białym pionkiem, co uaktywniło parę gońców, a zarazem.: w jakiś zagadkowy sposób widział te wszystkie ruchy przed sobą i widział sytuację patową, do której prowadzą. Wiedział, że teraz już nie przegra. Pies szczeknął krótko i kiedy Karpicz wsunął mu karteczkę, zniknął bez śladu jak duch.

Mężczyzna odwinął koc z nóg, wstał i przeszedł do okna. Chwilę stał z twarzą przy szybie, a potem zerknął za siebie. Mimo szumu w uszach poczuł się szczęśliwy. Wsparł dłonie o parapet i przyglądając się skłębionym chmurom, coś cicho zanucił. Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że to jedna z piosenek, które śpiewali nad Wisłą. Władek miał doskonały słuch, a i głos niczego sobie, więc dziewczyny Ignęły do nich jak do miodu. Boże, jak to dawno było...

Zauważył, że pies długo nie wraca. Przez całą partię pojawiał się z powrotem w kilka minut i aż dziw, że Boleski potrafił tak szybko notować. Karpicz podszedł do łóżka, koło którego wciąż na podłodze leżała gazeta. Nachylił się, ujął kartki i położył na fotelu. Psa dalej nie było. Czyżby Boleski już spostrzegł, że przegrał? Uśmiechnął się. Znał dobrze umiejętności swego kolegi od szachów. Pewnie zaskoczony pierwszym odmiennym ruchem nie wie, co teraz uczynić. Chce czy nie, musi zejść do niego. Raz jeszcze zerknął na szachownicę. Naturalnie, że czuł radość z rozwiązania zagadki, ale... Chwilę próbował nazwać stan swego ducha. Coś nowego, coś... pojawiło się w jego duszy. Wiedział, że pragnął tego przez całe życie, lecz nigdy nie odważył się ruszyć w tamtą stronę. Bał się tego, co należałoby zapłacić, ofiarować czy nawet poświęcić.

Wstał i wyszedł z pokoju. Schodami w dół, a potem korytarzem do aparatu telefonicznego wiszącego na ścianie. Notes miał ze sobą.

- Tak, Maria Wrońska - powtórzył kobiecie z informacji. - Tak...

Zanotował, podziękował i odłożył słuchawkę. Musiał oprzeć się o ścianę, gdyż inaczej by upadł.

- Ho, ho, wyszedłeś ze swojej jaskini - usłyszał czyjś głos za plecami.

Odwrócił się, machinalnie wyjmując kartę. Nowicki przypominał doktora Dolittle, o którym bajki czytywał kiedyś wnuczkom.

- Ano, wyszedłem. Skończyliście swój turniej?

- Nie, dopiero się rozkręcamy - właściciel korpulentnej sylwetki uśmiechnął się chytrze. - Może dołączysz?

- Może, ale najpierw chcę zadzwonić - obrócił kartę w palcach. - I jeszcze muszę na moment wpaść do Boleskiego. Nowicki machnął ręką.

- Boleskiego możesz sobie darować. Wczoraj rodzina zabrała go na tygodniową przepustkę. Pamiętasz chyba, że pies mu zdechł i chcieli chłopca jakoś rozruszać.

Karta wypadła z palców Karpicza i frunęła po posadzce. Zapomniał, jak on mógł zapomnieć?! Przecież mówił mu to ktoś przy obiedzie.

- To co, przyjdiesz? - Nowicki mrugnął figlarnie. - Może trafi ci się jakiś ciekawy partner.

Wolno, bardzo wolno skinął głową.

- Przyjdę, tylko mam jeden ważny telefon.

Tamten obrócił brzuch ku sali telewizyjnej i ruszył ku jej drzwiom. Karpicz odprowadził go wzrokiem, wsunął kartę i zaczął wybierać numer. Nie martwił się, jak zacząć rozmowę.

Nie dzisiaj.

Krzewiński Andrzej